Ner 46. Kraków, 18go Listopada. 1862.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:
Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:
Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„Niewiasta“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy frankować i adresować do Redakcyi Niewiasty w Krakowie.
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

Niedostateczne Oświecenie.

O nic dzisiaj nie łatwiej jak o oświecenie, które niestety! należy nazwać oświeceniem przez pół jasnem.

To oświecenie rozszerza się pomiędzy młodzieżą męzką, a daleko łatwiej jeszcze pomiędzy młodzieżą żeńską, jako bierniejszą.

Nabywa go się zaś z czytania, raczej dla zabawy, niż nauki; z czytania nie poprzedzonego konieczną nauką.

Nabywa się półjasnego oświecenia z przysłuchiwania się dyskursom nawet ludzi gruntownie wykształconych, którzy, dla niemających potrzebnej przygotowawczej nauki, wtedy tylko zupełnie są jasnymi, gdy do nich umyślnie mowę zwracają.

Kto się pragnie dowiedzieć, azali jest dokładnie oświeconym, niechaj sobie zada następujące pytania:

1śd, co wiem?
2re, zkąd wiem?
3cie, jak wiem?
4te, czy na tem, co wiem, mogę bezpiecznie polegać?

Kto, na te wszystkie pytania nie odpowie sobie zadowalająco, niechaj szuka nauki, aby sprawiedliwie z rzetelnym dla siebie pożytkiem mógł sobie czemprędzej przyznać prawdziwe oświecenie.

JOANNA ARK,

czyli

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Nie łatwa była przeprawa dziewicy, drogi były bezdenne a obsaczone wrogami. Trzeba jej się było przedzierać wąwozami, przeprawiać się przez wezbrane rzeki. Nocowywała, nierozbierając się z odzieży, i tak umiała się w zacności chować, iż Jan de Nouvelpont upewnia, że trudno było wobec niej wpaść komu na nieprzyzwoitą myśl.

Tylko zachwycenie dziewicy mogło wpływać na rycerzy, towarzyszących jej, że się nie popowracali. Odwagi dodawała im dziewica temi słowy: braciszkowie z raju powiedzieli mi, co mam czynić. Gdy ją pytano, zkąd ma odwagę przedzierać się przez nieprzyjaciół, odpowiadała: nie boję się wrogów, boć Bóg mi drogę otwiera Pan mój wskazuje, kędy mam dążyć do delfina.

W jedenastu dniach i we dwu nocach stanęła w Chinon w końcu lutego 1429 r. Droga wiodła ją przez sławne odpustami miejsce Fierbois; tam w kościele ś. Katarzyny, swojej patronki, wysłuchała mszy św. i pokrzepiła się do dalszego przedsięwzięcia. Tam też postrzegła miecz obok ołtarza, który sobie wyprosiła, jako wskazany jej przez głosy.

Podanie niesie, że go później strzaskała na pewnej nierządnej dziewczynie koło *Colange la Vineuse.*

Dziewica, przybywszy do Fierbois, miała pisać do Karola VII, aby się dowiedzieć, czy ma do niego przybyć. do Chinon?... Pewną jest, że we czwartek w południe 24go lutego 1429 r. do owego miejsca przybyła. W Chinon stanęła niedaleko zamku u pewnej poczciwej gospodyni. Król wówczas był w położeniu najgorszem. Cała jego gotowizna składała się z kilku talarów. Wszyscy byli pogrążeni w zwątpieniu i rozpaczy, zabrzmiała wieść o zjawieniu się Joanny, wieść, jakoby spełnienie dawnych proroctw o wyswobodzeniu Francyi przez niewinną dziewicę, o której nie od dzisiaj, bo jeszcze z czasów króla Artura wieści krążyły. Do wieści przyłączały się wieści, i jedna drugę potęgowała. Joanna znalazła świadectwo o bliskiem swojem posłannictwie w tem, że przypowiedziała bliską śmierć pewnemu żołdakowi, który się poważył bluźnić Panu Bogu.

Król, czy tam delfin, nieprzypuścił jej natychmiast do siebie, ale aż po upływie dwóch dni.

Gdy przed przepuszczeniem ją przed delfina żądano od niej cudów, rzekła: wyprawcie mnie do Orleanu, tam dowiodę mego posłannictwa, bo tak się podobało Panu Bogu. Na to jest nawet świadectwo hrabiego Dunois.

Naostatek udało jej się stanąć przed królem. Joanna poznała odrazu osobę króla, rozeznawszy go natchnieniem z pomiędzy wielu innych osób. Sam król mówił do niej, wskazując jej bogato przystrojonego książęcia: oto król. Ależ niepodobna było zmylić dziewicy, i uklęknąwszy przed królem, rzekła: „na Boga! Szlachetny panie, oto ty jesteś królem, a nie kto inny. Niechaj Bóg zastępów obdarzy cię szczęśliwem życiem.“ Głęboko zadumał się Karol, i już nie wątpił więcej. Gwiazda dziewicy zajaśniała nad wszelkie wyobrażenie, król powierzył jej się zupełnie.

Joanna wówczas lat 17, najwięcej 18 mająca, była słusznego wzrostu, silną i wdzięczną zarazem i świeżą jak poranek. Alabastrowe oblicze i łabędzią szyję barwił najpiękniejszy szkarłat. Jej duże ciemnobrunatne oczy rzucały pełne światło z pod prześlicznie sklepionych powiek, umieszczonych pod szlachetnem i wysokiem czołem. W jej wzroku mięszało się marzenie z serdecznością, chwytające za serce.

Ktoby chciał całe jej oblicze dokładnie oddać, powinienby być rzeźbiarzem pierwszego rzędu, najidealniejszym i najbardziej przedmiotowym zarazem. Wszystko w niej znamionowało siłę i delikatność zarazem: ciemne jej włosy były piękne i jedwabnej miękkości, ręce udatne i niewątłe, palce podłużne i... jak gdyby wytoczone. Pełno ducha, pełno niewinności, pełno przemilenia miała w swojem obliczu, z którego promieniła się niewypowiedziana czułość, nieokreślona i głęboka zaduma. Głos jej dźwięczał łagodnie, miękko, przemawiał duchem i zastanowieniem. Postawa jej była tak szlachetną, iż mógłbyś ją wziąć za wychowanicę pierwszego królewsklego dworu na świecie. Cały jej objaw był pięknym w zupełnem słowa znaczeniu.

Na pewne pytanie odrzekła królowi: „Bóg mnie uczynił posłannicą swoją, ażebym przyniosła pomoc królestwu twojemu. Zowię się Joanna, i oto mnie widzisz, ażebym objawiła ci błogosławieństwo Króla niebieskiego, i powiadam ci imieniem Pana Boga naszego, że ty jesteś prawdziwym dziedzicem Francyi i synem jej króla, i że ty, a nie kto inny, ukoronowan będzie w Rheims.

Potem, bo tak sobie życzyła, rozmawiał król z nią potajemnie. Lecz, gdy i król zażądał od niej widomych znaków posłannictwa, rzekła mu: dam ci je przed Orleanem, a nie na innem jakiem miejscu, albowiem tak podobało się Bogu.

Delfin, będący pod wpływami światowemi, chciał i stało się, że ją badała komisya, składająca się z świeckich i duchownych mężów, w Poitiers, siedzibie parlamentu i sławnego uniwersytetu.

Dziewica, poddając się pod badanie owo, rzekła: Boże mój! niemało mnie tam czeka trudności, lecz zeszlesz mi pomoc twoją. Posuwam więc naprzód kroki moje w imie twoje Panie.—Naznaczono jej pomieszkanie w domu prokuratora parlamentowego Rabateau. Tysiące ciekawych cisnęło się do niej.

Gdy jej przyszło stanąć przed licznem zgromadzeniem poważnych prałatów i jurystów, na których czele był arcybiskup rheimski, niezabrakło jej ani spokoju ani rozmysłu. Szlachetna, roztropna, skromna i rzetelna porwała wszystkich wątpiących prądem wiary. Niejeden, szczerze płacząc, mówił: iście Bóg najwyższy ją wysłał. Gdy jej pytano, dlaczegoby kobiecych szat na sobie niemiała, odrzekła: wszakże mam wojskowo służyć Delfinowi, wszakże mi żyć pośród mężów.

Gdy Wilhelm Aymer rzekł: głosy twoje przepowiedziały ratunek Francyi, więc po cóż wojny, której żądasz? odrzekła dziewica: jak mi Bóg miły, wojownicy będą walczyli, a Pan obdarzy zwycięztwem.

Gdy jej zapytał doktor teologii Seguin, mówiący dyalektem limuzyjskim nie łatwo zrozumiałym: w jakiem-by narzeczu do niej przemawiały głosy? Joanna zniecierpliwiona, patrząc na niego, odrzekła żwawo, i może za nadto śmiało: iście w lepszem od waszego. A gdy jej pytał, azali by w Boga wierzyła? odrzekła: iście mocniej od was.

A gdy i tam wielu żądało po niej, aby czyniła widome znaki, odrzekła z największą godnością: Na Boga! nieprzyszłam tutaj dla czynienia znaków; lecz odprowadźcie mnie do Orleanu, a posłannictwu memu nie braknie tam znaków.

Od badających jej oddaliła się, zostawiwszy im następujące proroctwa, które się wszystkie spełniły. Naprzód: Orlean będzie uwolniony, boć Anglicy zwyciężeni będą.

Powtóre: Karol w Rheims ukoronowan będzie.

Po trzecie: Paryż podda się królowi.

Po czwarte: Książę Orleanu, będący jeńcem angielskim, powróci do ojczyzny.

Badający jej uczeni uznali jej zacność, pochwalili jej pokorę, pobożność i uznali, iż ją Bóg natchnął.

Że jednak byli tacy, którzy sądzili, iż od czarta opętaną jest, musiała się poddać wymaganiom najprzykrzejszym dla tak skromnej jak ona dziewicy. Polecono przekonać się o jej dziewictwie Jolandzie, zacnej królowej sycylijskiej, a świekrze delfinowej, także innym paniom, boć sądzono wówczas, że czart do czystej dziewicy żadnej niema mocy. Uczeni panowie, dowiedziawszy się od owych pań o prawdzie, wyrzekli: iście dziewica od Boga wysłana, a ktokolwiek temu by przeczył, ów sprzeciwia się duchowi św. i nie godzien jest pomocy Bożej. Wyznaczono jej mieszkanie w jednej z wież zamku Couldray. Marszałek królewski przydał jej do usług piętnastoletniego de Contes, któremu wolno było być na jej skinienie aż ku wieczorowi. Po zmierzchu pozwalała tylko niewiastom służyć sobie.

(C. d. n.)

NIEWINNOŚĆ.

Ustęp z poemaciku:

Niewinność, Miłość i Poświęcenie.

W przeszłości toni
Myśl tęskna goni
Wspomnienia błogie, niezwrotne —
Wita krainę,
A w niej dziecinę,
W koło niej chwilki ulotne.

Błękit przejrzysty,
Cichy, złocisty
Namiot u góry rozpina;
Po miękkiej trawce,
Rada zabawce,
Pląsa i biega dziecina.

Krasne kwiatuszki,
Mieniące muszki
Podziwia, motyle płoszy,
Z pszczółką wraz leci,
Gdzie się błoń kwieci,
By ssać z nią słodycz rozkoszy.

To w krzewiu skryta,
Kuka i pyta
Kukułki, zali ją widzi?
A szpak, niecnota,

Gwiżdże, szczebiota;
Czyli z dzieciny on szydzi?

Ta, jak ulane,
Nóżki rumiane
Zanurza w ruczaju, staje,
Dalej pospiesza,
Swawoli, całuski daje —

I chwilki lecą,
Błękit szarzeje,
Światełka świecą,
Księżyc jaśnieje.

Dziecina szczęściem znużona,
Do snu lubego tuli się łona,
A przy łożu z róż,
Staje Anioł-stróż.

Skrzydłem opieki śpiącą osłania,
Niebiańskie lico ku główce skłania;
Jakieś powieści, prześliczne, z cicha
Śpiącej dziecinie szepce do ucha,
Bo tchnień nie słychać, tak chciwie słucha:
To rączką skinie, to się uśmiecha.
Anioł powieści zakończył prawić,
I nuż pieścioszka czem innem bawić:
Do ramion cudne lotki przypina,
Że aż podskoczy we śnie dziecina,
Za rączkę bierze, skrzydła rozwinie,
I wraz z pieścioszkiem wzbija się, płynie
Popod obłoki, ponad obłoki,
Przez eter czysty, błękit szeroki,
Przez krocie gwiazdek, których Pan światów
W przedsionku nieba nasiał jak kwiatów.

Płyną — na morze jaśni wpłynęli,
I u bram niebios wreszcie stanęli.
„Patrzaj! rzekł anioł, oto raj mój,
A tam na ziemi, tam jest raj twój.
Spojrzał, i kryje w anioła szaty,
Cudem olśnione oczek bławaty;
Bo ujrzał czego oko nie widziało,
Bo słyszał czego ucho nie słyszało.
Po chwili drżącym głosem wyrzecze:

„Zostaw mnie, zostaw tutaj aniele!...
Bo tu jest radość, szczęście, wesele.“

„„Przez trudy ziemskie droga do nieba,
Odpowie anioł, tę przebyć trzeba,
Ojcu w niebiesiech wszelaką cześć,
W szczęściu, niedoli z duszy swej nieść;
Kochać swych braci, ich szczęściem żyć,
Prawdy obrońcą wytrwałym być —
Ziemi ojczystej — święta to cnota —
Nie skąpić skarbów, nawet żywota;
A kto przed Sędzią najwyższym stanie
Z sercem jak twoje, i w twej sukience,
Jego anieli wezmą na ręce,
Jego w swój poczet przyjmą niebianie.““

Amen! zabrzmiały anielskie chóry,
I... wśród boskiego niebianów pienia,
Uleciał anioł, znikły widzenia,
Wyrwał się malec z objęć natury,
Z bolesnym płaczem rączki załamie,
Szukając straty, wkoło spoziera,
Mama przybiegła, łezki ociera,
On łez tych powód powiedział mamie.

Kraków, 1860.

J. Giebułtowski

ZAGRANICA.

Powiastka niewieścia;

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(Ciąg dalszy).

III.

Szukajże sobie żonki staniku sobie równego, wychowania a ćwiczenia roztropnego, obyczajków nadobnych a wstydliwych.

Mikołaj Rej z Nagłowic.

W ładnem ubraniu, w szerokiej, fałdzistej sukni rzuciła się Irma na wygodny *szesląg* w mniejszym saloniku zabrzeskim. Elegancki przyrząd pokoju zgadzał się z powabną postacią młodej dziewczyny. Drzwi szklanne na ogród stały otwarte, ukazując starannie utrzymywane klomby, w jesienne kwiaty obfite.

Na *etażerce* i na stoliku obok leżało kilkanaście książek w różowych, żółtych, niebieskich okładkach, brukselskiego wydania.

Irma trzymała w jednej ręce jakiś świeżutki romans, a w drugiej ozdobny nożyk, którym przerzynała stronnice. Czytającej to uśmiech przemknął po licu, to znowu znudzona ziewnęła, opuściła rękę z książką niedbale, i bezmyślnie wzrok w ogród wysłała.

Zaturkotało przededworem, ale nic jej to nie obeszło. I dopiero, gdy drzwi od pierwszego salonu zaskrzypły, gdy szelest lekkiej, ale silnej posłyszała stopy, podniosła się i pomknęła ku drzwiom z książką w ręku.

— Pan Jerzy! — zawołała lekko zapłoniona, podając rączkę gościowi.

— Przepraszam, jeżelim przeszkodził— wymówił przybyły uprzejmie.

— Oh, bynajmniej! Siadajmy! — Irma dawniejsze zajęła miejsce, a jemu wskazała fotel. — Ojciec mój konno wyjechał, mama spoczywa nieco, lecz oboje zjawią się niebawem.

— Przerwałem pani literackie zajęcie — i Jerzy spojrzał na rozłożone w koło książki.

— Nudno mi było, i przerzucałam jednę po drugiej, — odrzekła panna.

— A znalazłaś pani wreszcie czem nudę odpędzić.

— Nie bardzo! To wszystko się przeje... A ta jednostajność tak męczy.

— Przecież pani masz tyle środków do urozmaicenia sobie rozrywki.

— Niezbyt wiele!

— Tyle zasobów w samej sobie.

— Oh, te zasoby! — ruszyła Irma ramionami.

— Naprzykład muzykę.

— Niema grać i śpiewać komu.

— Przejażdżki.

— O, lubię pasyami konną jazdę!... ale papka daje mi tylko jakieś szkapiny od pługa.

— To wprawdzie nie zachęca — i uśmiechnął się gość.

— Przeto i zrezygnowałam.... — Irma już chciała coś mówić o *kursach*, o *vollblutach;* ale pomna przestróg rodziców, przygryzła ładnych ustek i zamilkła.

— Rysunek, malarstwo — ciągnął Jerzy znowu dalej.

— Niemasz tutaj tak powabnych widoków — skrzywiła się panna.

— Dla artystycznego oka lada chata, drzewo pochylone, wzgórek, lub wreszcie walący się płot, już dostarczą przedmiotu.

— Nie jestem tak wielką artystką! — roześmiała się Irma znowu.

— Sąsiedztwo!

— Oo! — panna litośnie ramiona uniosła.

— Wreszcie panie macie tak śliczne robótki, które z prawdziwym wykończacie artyzmem — mówił Jerzy dalej, zrozumiawszy od razu ten przeciągły, powyższy wykrzyknik swojego pięknego *vis-à-vi.*

— To zbyt oczy psuje.

— A listowanie!

— Pisuję listy... I też korespondencye niemal jedyną są dla mnie rozrywką.

Odtąd rozmowa przeszła na pole zagranicznych nowin i ożywiła się znacznie.

W pół godziny potem, gdy pani Wągrowska nadchodziła do salonu — uwiadomiona o przybyciu gościa, posłyszała już zdala piękny śpiew córki. Gdy weszła, ujrzała pana Jerzego poza krzesłem Irmy, z wyrazem zachwytu w twarzy, i aż zachwyciła się sama.

Niebawem powrócił i pan domu z pola, uradowany widocznie przybyciem *kochanego kuzynka.*

Przyjęcie było wykwintne i wino wyśmienite, brzoskwinie, winogrona, herbata, tort wyborny, zwierzyna, kremy; ale go dziwiło, że chleba wcale nie widział, *choćby na lekarstwo!* — do wieczerzy dano jakieś miejskie bułeczki, małe, zeschłe a blade.

Irma... za to była czarującą, gość bawił się wybornie, i niby ócz od ślicznego dziewczęcia oderwać nie mógł.

— Cóż tam? Jakże? — pytał mąż żony, odprowadziwszy o późnej porze kawalera do przeznaczonego dla niego pokoju — czy nie wyrzekł tak *coś, jakoś?*

— Jaki też z ciebie... *(prostak,* chciała dodać jejmość) — przecież tak od razu, zaraz nie wypada się oświadczyć! Byłaby to zbyteczna prostota.

— No, no! Ale, tak przecież... jak miarkujesz?

— Zakochany po uszy! Przecież to widzi każdy.

— Żeby tylko.... żeby! — papka podrapał się po głowie i stłumił westchnienie.

Biedaczysko! Zagranica wypróżniła wszystkie zasoby, i zkąd tu wziąć posag dla takiej wykwintnej panny?! A potrzeba ją dobrze wydać koniecznie.

Przededwór w Tarlinie zajechał elgancki karrykiel— i wysiadł z niego pan Jerzy Poraj.

Wybiegł służący bardzo porządnie, ale w szaraczek ubrany.

— Czy państwo są w domu? — zapytał przybyły, zrzucając okrycie *à la Baglon.*

— Państwo pojechali na drugi folwark. Pani Marzecka i panna Zofia są w ogrodzie.

Jerzy okrążył dwór biały, murowany; wśród trawników zielonych, nie straszących jeszcze bliską jesienią, podziwiał piękne bukiety z dalij, malw i floksów. Skręcił w gęsty szpaler, i na otwartem miejscu, pod rozłożystym kasztanem, zkąd widok był na pola dalekie, zobaczył siedzące panie z robótkami — a przy nich schludnie ubraną dziewuszkę wiejską, z książką w ręku.

Panie podniosły się na widok gościa. Zofia nieco pobladła, a potem zapłonęła.

Odbyła się zwykła forma powitania. Poczem Jerzy zajął krzesło obok pani Marzeckiej, a naprzeciw Zofii. Dziewuszka książkę zamknęła, i zabierała się do odejścia.

— Jakąż to panie tutaj macie czytelniczkę? — zapytał Jerzy, biorąc książkę z ręki dziewczęcia.

— Zosi uczennica — odrzekła pani Marzecka — córka karbowego.

Poraj spojrzał na Zofię jasnem, strzelistem wejrzeniem, a potem wzrok znowu opuścił.

— *Dzwonek* — przeczytał — bardzo to dobre pismo.

— To też ta mała czytuje nam głośno *Dzwonek, Przyjaciela Dzieci, Gwiazdkę Cieszyńską...*

— Jakże ci na imie? — zapytał Poraj dziewuszki, oddając jej książkę.

— Marysia, proszę pana — odrzekło dziewczę.

— I lubisz czytać?

— Bardzo, proszę wielmożnego pana.

— A rozumiesz wszystko, co czytasz?

— Rozumiem... a czego nie rozumiem, to mi wielmożna panna wyłoży.

Jerzy spojrzał się znowu na Zofią, a tak jakoś wymownie, że lica jej mocny okrasił rumieniec.

— Idź już teraz, Marysiu, idź! — ozwała się pani Marzecka, i dziewuszka szybko zniknęła w szpalerze.

— Przywożę paniom serdeczne ukłony z Lubońska i z Zabrzezia — zaczął Jerzy. — A do pani mam misyą — zwrócił się z uśmiechem do panienki.

— Cóż takiego? — pokraśniała znowu, i od robótki pytająco ku niemu zwróciła oczy.

— List od panny Irmy.

— Od Irmy! — i z radosnym wyrazem odebrała z rąk jego wonny, różowy bilecik.

Pan Jerzy z ciocią rozmawiał, Zofia liścik przebiegła, a z poza szpaleru nadeszli właśnie państwo Nasielscy i dwóch chłopczyków: młodzi bracia Zofii.

Gdy w parę godzin później podano herbatę i smaczną wieczerzę, bez wykwintów wszelako, Jerzy, zobaczywszy chleb piękny i ładny, przypomniał sobie pomimowoli zeschłe, kupne bułeczki w Zabrzeziu, i tem chętniej z tym Bożym darem się spotkał.

Po herbacie Zofia, bez powtarzanych zaprosin, usiadła do fortepianu i zagrała jakieś *pot-pourri* nietrudnego układu, ale nader dźwięczne i melodyjne, a oddała je bez przygany z czuciem i cieniowaniem, zastósowaniem właściwie. Na zakończenie zaśpiewała *Piosnkę* Mo-

niuszki, dodając: że na wielkie nie odważa się rzeczy. Piosenka ta wszelako, czystym srebrzystym oddana głosikiem, giętkim a miłym, więcej zająć potrafiła, aniżeli niejedno *Casta diva*, albo *Grazia! Grazia!*

— Przyjechał z Zabrzezia, gdzie dwa dni bawił — wymówił pan Nasielski z cicha do żony w czasie, gdy córka śpiewała.

— Wiem, bo przywiózł list do Zosi — odrzekła żona.

— Zdaje się, że będzie *coś*.

— Niewątpliwie!

— Dobrzeby było! Poczciwe ojczysko kłopoce się dziewczęciem. Trudno.. ani wie, co z tym począć fantem?... Skrzywione wychowanie całe!

— Życzę im tej partyi z całej duszy! Bo dla Irmy potrzeba dostatków i pańskości.

— Zajął się widocznie!... Byle tylko nie zraziła go jakim wybrykiem.

— Ustatkuje się! piwko wyszumi!

— Oby tylko!...

Dźwięki piosenki przebrzmiały, i rozmowa znowu stała się ogólną.

Pani Marzecka do pani Bieniewskiej.

Tarlin, 26go października.

Różne różności nam przeszkodziły, żeśmy na wezwanie najszanowniejszej pani marszałkowej do Lubońska przybyć nie mogły. Już to — prawdę powiedziawszy— lepiej, ażeby Zosia tam rzadko teraz bywała: zrozumiesz mnie pono od razu, moja Karolku! — Państwo Nasielscy o podobnej dla niej partyi ani zamarzyli kiedy, bo tak wysoko nigdy nie sięgają, i nie sięgały nadzieją — ale dziewczę zajęło się mimowoli i wiedzy własnej. A nie przemówiła do niej uroda, ni też majątek i stanowisko; lecz charakter zacny i szlachetny— i to stokroć więcej jest niebezpiecznem. Zapomni ona, skoro drugostronnej nie będzie podniety; ale strzedz jej wszelako potrzeba, ażeby się nie łudziła, nie marzyła, jak to u młodych bywa dziewcząt. Mówiłyśmy ze siostrą dużo o tym przedmiocie, i zgodziłyśmy się na jedno.

Szczęść Boże Irmie! I oby upamiętała się w tem swojem zamiłowaniu obczyzny — a zacnemu młodzieńcowi szczęście przyniosła. Sądzę, że ją miłość z tych wszystkich przywar uleczy.

Pan Jerzy bawi znowu od dni trzech w Zabrzeziu, jako zaproszony na polowanie. Byliśmy także zawezwani, lecz wczoraj sam pan Nasielski tylko pojechał. Odmówiłyśmy pod jakimś pozorem, lecz z tej samej przyczyny, dla której pozbawiamy się przyjemności uczęszczania do Lubońska. — Zosia pewnie ani miarkuje o co chodzi, było jej wszelako markotno, żeśmy do Zabrzezia nie pojechały; ale nic nie mówiła.

Irma w pięknym stroju amazońskim bierze udział w tym polowaniu, lecz *nieco* tylko, bo ojciec surowo zabrania jej *hec* wszelkich.

Zasmuca nas i niepokoi, że pani Wągrowska z Irmą wyjeżdżają znowu do Drezna — i to już na końcu listopada. Po co? Dla czego?.. Niedorzeczność prawdziwa! — Pan Nasielski skrobał się po łysinie, wzdychał, gderał — ale koniec końców, że żonie i córce nie potrafił tego wyperswadować wybryku. Poczciwy z niego, lecz aż nadto słaby człowiek. — Słychać, że pan Jerzy za niemi pojedzie, i rozumie się, że nie będzie inaczej.

Dałby Bóg, aby pobrali się co rychlej, to może i zmieni się wszystko.

Chciałaś, bym przeczytała listy, które Irma do Zosi napisała, gdyśmy bawiły w Warszawie — ale ich od niej wydobyć nie mogę. Dziewczę dotąd przed matką ani przedemną żadnych tajemnic nie miało — listów tych nie udzieliła nam wszelako, przeto musi być coś w tem. Domyślam się, że oszczędza Irmy.

Do widzenia, kochana Karolciu!

Tekla Marzecka.

(Dok. nast.)

Rzeczy Artystyczne.

MALARSTWO.

LEONARDO DA VINCI.

Życiorys i charakterystykę dzieł jego

skreślił

Władysław z Lewartowa Lewartowski.

(Dokończenie).

Tu także wypada nam wspomnieć śliczne portrety *Mona Lisy* i *Ginevri Bénci*. Pierwszy z tych jest małżonki Giocondego, przyjaciela Leonarda. Niewysłowiony tu powab i delikatność rysunku. Leonardo pracował nad tem dziełem cztery lata, i mimo to, jeszcze go nie wykończył, a dzisiaj, choć portret ów jest już w stanie na wpół zniszczonym, daje nam przecież dobre wyobrażenie zupełnie rozwiniętej piękności. Postać *Mona Lisy*, występująca z tła skalistych gór, mimo nieco sentymentalnego wyrazu, ma coś czarodziejskiego w sobie. Rysunek rąk jest tutaj niezrównany. Portret ten nabył Franciszek Iszy za 4000 talarów; znajduje on się w Luwrze, a liczne tegoż kopie można napotkać w wielu znakomitszych galeryach. Z tego czasu ma również pochodzić portret *starca* w galeryi drezdeńskiej, i portret nader nadobnej *niewiasty* w galeryi Pomersfelden. Pierwszy z tych ma wyobrażać Giangiacomo Frulzi, feldmarszałka Ludwika XIIgo; według mniemania innych, ma to być portret złotnika Morett, wykonany nie przez Leonarda, lecz przez młodszego Holbeina *).

W roku 1513 udał się Leonardo do Rzymu, lecz tym razą niedługo tutaj bawił. Z tego czasu, według niektórych historyków, ma pochodzić obraz *Madonny*, znajdujący się w jednym z krużganków klasztoru ś. Onufrego w Rzymie. Obraz jest na tle złotem. Madonna, trzymająca kwiatek w ręku, odznacza się dokładnym rozwojem kształtu, i pewnem miłosnem tchnieniem, jej oblicze rozpromienia Pan Jezus; mimo śmiałej postawy, ma coś ostrego w rysach, i pewną ciężkość w wykonaniu. Lewą rączką dotyka Boska Dziecina kwiatu, prawą zaś błogosławi.

Prócz wymienionych obrazów, znaduje się jeszcze jeden, z najpiękniejszych, utworzony przez Leonarda w Rzymie, w pałacu Sciara. Są to dwie niewiasty: Modestia (skromność) i Vanitas (marność). Jedna z tych, mająca zarzucony welon na głowie, celuje pociągającym i bardzo szlachetnym profilem, jako też bystrym i otwartym wyrazem. Skinieniem przywołuje ona siostrę do siebie, na której ustach igra zwodniczy uśmiech. *Vanitas*, z obnażoną piersią i kwiatem w ręku, odzna-

*) Holbein, znakomity malarz szkoły niemieckiej. 1498—1554.

cza się zupełnem wykończeniem, całe zaś dzieło cechuje silny koloryt. Obraz ten znajdował się poprzednio w Brukseli, obecnie znajduje się w Hadze.

Roku 1516 został Leonardo wezwany do Francyi na dwór Franciszka Igo. Nie jest rzeczą pewną, czyli niektóre kompozycye da Vincego, znajdujące się w Luwrze, pochodzą z tego czasu? Do tych, między innemi, należą: Przenajświętsza Rodzina, znana pod nazwą: *Vierge aux rochers.* Panna Marya klęczy na ziemi, przed nią siedzi Pan Jezus, jedną rączką obejmując matkę, drugą błogosławi; za Chrystusem Panem klęczy anioł, przytrzymuje on Boską Dziecinę i wskazuje na ś. Jana. Cała ta grupa jest umieszczona nad rzeczką, otoczoną pięknem kwieciem; z pomiędzy skał, ukazujących się perspektywnie w pewnej odległości, widać dolinę, a po niej wijący się strumień. Cała kompozycya jest nader idyllicznie pomyślana.

Jakkolwiek głównem zadaniem naszem jest zapoznać czytelników z Leonardem da Vinci, jako ze znakomitym malarzem, to przecież mimochodem, dotknąć nam i innych stron jego, gdyż inaczej niemoglibyśmy mieć dokładnego wyobrażenia o wszechstronnych zdolnościach artysty. Już poprzednio nadmieniliśmy o jednym planie Leonarda, a mianowicie o modelu na statuę Franciszka Sforcy; teraz jeszcze wypada nam wspomnieć choć o kilku celniejszych dziełach jego, nienależących do zakresu malarstwa. I tak, między innemi wykonał on model na passyą, którą póżniej z gipsu odlano; dał śliczny plan na pałac hr. Velphi we Vaprio i na łazienkę arcyksiężnej Beatrixi. Jego też dziełem jest wiele warowni florenckich, jako też kanał na S. Christoforo, i upust, na podziwienie zasługujący, na Naviglio di Christoforo.

Tyle o dziełach Leonarda, a teraz jeszcze kilka słów na zakończenie.

Leonardo da Vinci był lubiony i szanowany nietylko jako artysta; ale i jako człowiek wysokiej moralnej godności. Jego miłe oblicze, ujmująca postawa, przekonywujący dar wymowy, zaskarbiły mu wielu przyjaciół, których z niezwykłą, serdeczną szczerością rad u siebie podejmował. Bogaty czy biedny równie mu był miłym, jeżeli go tylko szlachetne przymioty, zacność charakteru zdobiły. Za takimi ludźmi ubiegał się Leonardo, kochał tych, co byli panami siebie; lecz i sam umiał nad sobą panować; umiał niezłomną wolą trzymać na wodzy każdą, choćby najgwałtowniejszą namiętność.

Umarł on w St. Clout 1519 r. napełniając smutkiem kraj cały.

TEATR.

D. 11go b. m. odegrano po raz pierwszy 4-aktową komedyę z francuskiego p. t.: *Fałszywi Poczciwcy.* Komedya ta w Paryżu robiła furore przed kilką laty, a i w innych teatrach, mianowicie na scenie lwowskiej, dla której była tłumaczoną, miała i ma dotąd wielkie powodzenie. Wyznać też potrzeba, że należy do lepszych utworów francuskich, bo się przynajmniej obchodzi bez tych zawikłań i intryg za włosy przyciąganych, i tylko na nerwy słuchaczów wyrachowanych: *coups de theatre,* któremi zapełnione są wszystkie repertuary teatrów francuskich. Jest to w swym układzie to, co nazywają komedyą konwersacyjną, w której nie zdarzenia, nie ich zawikłania główną grają rolę; ale osoby działające, ich wzajemne rozmowy, sceny najdrobniejsze i słowa najmniej znaczące, są (aby użyć porównania) jakby one cienie i półcienie to wydatniejsze, to ledwie naszkicowane — służące do wyrobienia całości obrazu. I z tego powodu nawet pozornie komedya ta wydać się może rozwlekłą nieco, mianowicie dla publiczności mniej myślącej, wrażeń tylko żądnej. Dodać i to należy, że napisana przez Francuza dla francuskich aktorów, u których i ton konwersacyjny, i ta łyskawiczna szybkość w dyalogach do najwyższego doszły stopnia, komedya, w wygłoszeniu polskiem poważniejszem, musi stracić na francuskiej żywości, która ją charakteryzuje. Jakoż przekonani jesteśmy, że zarobić tylko może na częstszem przedstawieniu. Im się lepiej wbije w pamięć grających, im się grający więcej przyzwyczają do tej żywości konwersacyjnej, bez której żaden dyalog francuski obejść się nie może, tem wydatniejszemi staną się wszystkie najdelikatniejsze rysy, tem się ta sztuka publiczności więcej podobać musi. Mimo tła rzeczywiście przeważnie francuskiego — bo jest niem spekulacya giełdowa (chociaż już i do nas zachodzi ta gorączka hazardów i spekulacyj), myśl główna autora dotykająca wady społecznej coraz powszechniejszej, czyni tę komedyę przystępniejszą i dla innych społeczeństw, od innych utworów francuskich obrabiających stosunki miejscowe. Tą wadą jest ów prąd ku materyalizmowi w jego znaczeniu najegoistyczniejszem, który pomału jako rdza obsiada i przeżera najhartowniejszą stal uczuć i myśli szlachetniejszych. W Paryżu jak i Warszawie, Wiedniu i Krakowie, napełniony jest świat niższy i wyższy temi fałszywemi poczciwcami, które pod pokrywką dobroduszności ukrywają i przeprowadzają najbrudniejsze myśli i zamiary. Z tego też wychodząc stanowiska powiemy, że mimo tej, o której mówiliśmy, barwy, częściowo tylko lokalnej, sztuka ta utrzymać się może w naszym polskim repertoarze.

O grze artystów tego wieczoru tyle tylko powiedzieć możemy, że nadto widoczne były dobre chęci i szczera staranność, byśmy chcieli być nadto surowymi w wytykaniu rozmaitych usterków. Najgłówniejszą wadą tego przedstawienia było (choć to wygląda na paradox), że to było pierwsze i może niedostatecznie próbami przygotowane przedstawienie — a powiedzieliśmy to już wyżej, jako w komedyi tego rodzaju jest to rzeczą najważniejszą. Panna *Biedrońska,* jak zwyczajnie, grała wybornie, podnosząc swą rolę niewielką, tą szczerością czy humoru, czy uczucia, która jest właściwością jej talentu. Panna *Safir* grała tym razem wcale dobrze, a pani *Krajewska* oddała także, mianowicie część swej roli komiczną, doskonale. Z mężczyzn p. *Janowski* dał tym razem dowód, że, przy staranności i wystudiowaniu scenicznem roli, można bardzo wiele uczynić: rolę swą bowiem tym razem oddał bardzo szczęśliwie. Odznaczyli się także pp. *Benda, Tatarkiewicz* i *Rakowiecki.* Lecz palma zwycięzka tego wieczoru należy się rzeczywiście p. *Delchau,* który swą rolę bardzo wielką i nużącą odegrał z życiem i prawdą. P. *Wisłocki* obok niego uwydatnił także stronę komiczną całej sztuki z wielkim humorem. W scenach rubasznych mianowicie jest on wyborny: ma w tej mierze swoje specyalne właściwości, które do szczerego pobudzają śmiechu.

Wspomnimy jeszcze o przedstawieniu benefisowem panny *Biedrońskiej (Niedorostek Paryski),* odegranem d. 13go b. m., nie dla sztuki — bo ta dobrze znana; ale dla gry artystów naszych, która tego wieczora była wyborną w swej całości. Panna *Biedrońska* i p. *Królikowski* ukazali się prawdziwymi artystami. Beneficyantka, rolę ulicznika paryzkiego grała z takiem życiem, z taką swobodą, wdziękiem i naturalnością, że widzów porywała ze sobą, rozśmieszała i rozwesalała zarazem. Pan *Królikowski* był prawdziwym jenerałem, parweniuszem sławy i waleczności z epoki napoleońskiej, szorstkim

po wierzchu, a pełnym honoru i uczuaia wewnątrz. Inne role obok nich gasnąć musiały, a przecież panna *German* z swej dość biernej rolki umiała wydobyć tyle ciepła uczuciowego (w scenie z jenerałem), że obok rzęsistych oklasków, jakiemi nagradzaao p. Królikowskiego, a mianowicie pannę Biedrońską, kilkakrotnie z zapałem wywoływaną, i jej się dostało kilka szczerych i serdecznych oklasków. Co już raz powiedzieliśmy, powtarzamy jeszcze: panna German może mieć przyszłość wcale piękną; zależy to po większej części od niej, ale i dyrekcyi obowiązkiem jest niezaniedbywać tego talentu; lecz raczej dalszym i życzliwym kierunkiem nadać mu nawet znaczenie.

Gawędy panny Reginy.

(Ciąg dalszy).

— Życzyłbyś sobie taki kwiat posiadać?

— O i bardzo!

— A na co, jeśli się spytać godzi?

— Chciałbym za pomocą tego czarodziejskiego kwiatu być kochanym tak, jak ja kocham!

— No proszę, więc pan Kazimierz zakochany? i dotąd milczał, chował tajemnicę przedemną, przed najlepszą swoją przyjaciołką?

— Kiedy to pani niewiesz kogo ja kocham?

— Niewiem; ale naprzód zazdroszczę tej pani czy pannie, która zdołała opanować to rycerskie, lodowate serce? — Te słowa wyrzekła chorążanka z takim wdziękiem, z taką słodką wymówką, że biedny Kazimierz prawie bezprzytomny rzuca się jej do nóg, i woła głosem zapamiętania:

— Jadwigo! ja ciebie kocham!

Widać było wielkie wzruszenie chorążanki, pierś jej prędko oddychała, wznosiła się i opadała jakby lekka fala na jeziorze; wreszcie po chwili milczenia rzekła:

— Powstań panie Kazimierzu! afekt twój pochlebia mi bardzo, mnie nieszczęsnej kalece, na której twarz każdy z obrzydzeniem spogląda; ale czy zastanowiłeś się nad tem, coś teraz wyrzekł? być mężem potwornej dziewicy, jest to wystawić się dobrowolnie na najprzykrzejsze pociski świata, bo na szyderstwo niejeden powie: Szalony młodzieniec! musiał być odurzony trunkiem w chwili, gdy się odważył na podobne śluby; drudzy, jeszcze złośliwsi, powiedzą, że cię przynęciły moje wielkie włości, o czem ja wcale inaczej jestem przekonaną, bo znam dokładnie twe serce.

— O tak, pani! niemylisz się, i gdybyś mnie raczyła wysłuchać, i przyjąć ofiarę serca mojego, pierwszym warunkiem przedślubnej ugody, z mej strony, byłby akt zrzeczenia się prawa do całego majątku, który za wspólnem porozumieniem się, użyty by był na ofiary kościelne, i wsparcie cierpiącej ludzkości!

— O, za pozwoleniem mój panie! tego sobie wcale nie życzę! z majątku wyzuwać bym się wcale niechciała. Nieprzeczę, że miłość waszmości wcale mi pochlebia, i że czułabym się bardzo z nim szczęśliwą. Ale przy pasterskiej miłości umierać z głodu niemam zupełnie ochoty; lecz mówmy serjo panie Kazimierzu, czyliżby ojciec twój pozwolił żenić się zemną? ze straszydłem?

— O pani nie mów tego! Ojciec mój kocha cię także, ubolewa wprawdzie nad fatalną igraszką natury, która cię od urodzenia twojego upośledziła, ale zna dobrze, jak ja, przymioty twej duszy. Wreszcie ojciec mój dał mi zupełną wolność wyboru!

— Panie Kazimierzu — rzekła chorążanka po chwili — pomów że waszmość dziś jeszcze z ojcem twoim, chcę słyszeć co na to powie, bo bez jego zezwolenia niemożemy ani myśleć o zamiarach naszych; ja z mej strony potrzebuję także pary dni namysłu, ślub małżeński nie jest podskokiem w tańcu!

Kazimierz ucałował rękę chorążanki, wybiegł na dziedziniec, wsiadł na konia i pogalopował jak strzała. — Chorążanka patrzyła za nim z okna, dopóki go tylko dosięgnąć mogła, potem klękła przed obrazem Matki Boskiej, pomodliła się w milczeniu, wstała, i rzekła mimowoli:

— O Matko moja! wszak ja nie jestem w błędzie! Kazimierz jest godnym mojego wyboru, on jeden uszczęśliwić mię może.

Kazimierz wpadł konno na podworzec ojcowskiego dworku, jakby go kupa wilków goniła; skoczył z konia, puszczając go luzem, wbiega do komnaty.

Ojciec, przestraszony jego pospiechem, rozumiejąc, że jaki napad albo pożar w sąsiedztwie, pyta go co się stało? — on zasapany, odetchnąwszy silnie piersią:

— Nic ojcze! — odpowiada — nic, tylko będziemy mieli wesele, krótko mówiąc, kochany ojcze, ja się żenię!

Stary wytrzeszczył oczy, cofnął się w tył o dwa kroki i zdziwiony zapytuje.

— Waść się żenisz? a z kim?

— Z chorążanką!

— A słowo stało się ciałem? Jezus Marya, Józefie święty! a cóż, czy nie mówiłem? na piękne chłopak zwaryował! żenić się z chorążanką! — poczciwe, dobre, bogobojne, nikt tego nie przeczy; ale jej twarz?

— Ojcze kochany już się stało! chorążanka przyjęła wyznanie mojej miłości!

— Ba! bardzo temu wierzę!

— Czeka tylko na twoje zezwolenie, kochany ojcze!

— Moje zezwolenie?! o bardzo wam potrzebne, kiedyście już głupstwa porobili; hm!... i ona także widzę szpakami karmiona! póty nęciła waryata do zamku, aż mu do reszty rozum odebrała.

— I cóż ty na to ojcze drogi?

— Cóż ja na to? a czy to ja się żenię? przecież ja z nią żyć nie będę, tylko waszmość; róbże sobie jak ci się podoba: jak sobie pościelesz, tak się i wyspiesz!

— Więc niemasz nic przeciwko temu?

— Jak powiedziałem, róbcie sobie co chcecie!

Kazimierz uściskał ojca, ucałował jego ręce, wybiegł na podworzec, siadł na konia i popędził galopem napowrót do zamku! — Stary popatrzał za nim, potrząsł głową, westchnął, kiwnął ręką i wyrzekł:

— Niech się dzieje wola nieba! widać takie było przeznaczenie Boskie, bo przysłowie mówi: Mężowi żona od Boga przeznaczona! ciekawym tylko jakie dzieci z nich będą?

W kilka tygodni już niebyło dla nikogo tajemnicą, że pan Kazimierz Zablicki żeni się z panną chorążanką Jadwigą Bukowiecką, czyli dziedziczką zamku Bukowca; różne o tem były rozprawy sąsiadów, ale państwo młodzi bynajmniej się nie troszczyli o sąd świata całego, bo serdecznie oboje pragnęli tego związku. Stary szlachcic tylko westchnął niekiedy i pomruczał pod nosem:

— Hm! osobliwsze małżeństwo! ciekawym tylko jakie z tego będzie pokolenie?

Nadszedł nareszcie i dzień ślubu, 6ty sierpnia, dzień Przemienienia Pańskiego, gości multum sproszono, księży, włościan; dwór cały bogato przybrany, stoły na kil-

kaset osób w wielkiej sali zastawione, na dziedzińcu stoły i ławy ustawione dla chłopków, beczki miodu, piwa i gorzałki przygotowane, wół cały piecze się na drugim dziedzińcu, myślałbyś że to królewskie gody; wreszcie nadjechał ksiądz dziekan, co miał błogosławić młodej parze. Zapalono światła w zamkowej kaplicy, i ślub się odbył jak najuroczyściej, w obecności blisko tysiąca świadków; gdy już po ślubie weszli do wielkiej sali, pani zamku przemawia do swego małżonka w te słowa:

— Kochany rycerzu! pokazałeś zbyt wiele odwagi, łącząc swe losy z losem istoty potworczej; lecz prawą i bezinteresowną miłość samo niebo wynagradza, dziś jest dzień Przemienienia Pańskiego, niech że ten dzień stanie się dla nas dniem szczęścia i radości, poznaj tę, której ślubowałeś miłość i wierność do zgonu. — To mówiąc, poruszyła sprężynę; maska się rozpadła, a Kazimierz, zamiast szpetnej twarzy, widzi przed sobą twarz anioła pełnego wdzięków; w zachwyceniu swojem przeciera oczy, sądząc, że to sen, nareszcie rzuca się jej do nóg, mówiąc:

— Aniele mój, powiedz co znaczyło to podejście?

— To nie było podejście — odpowiedziała Jadwiga, — to jest spełnienie woli matki; będąc troskliwą o los swej córki, niechciała, bym otoczona mnóstwem wielbicieli, (jakich by nietylko mój majątek, ale i powaby ciała nęciły), miała wybierać sobie dozgonnego przyjaciela, bo w wielkiej liczbie najłatwiej się omylić można; doświadczyła tego losu moja matka, i pragnęła mnie od tego uchronić, kazała więc zrobić tę potworną maskę, w niej się tylko ludziom ukazywać—a gdybym, mimo szkarady i potworności, zdołała sobie zjednać serce zacnego mężczyzny, wówczas dopiero ukazać prawdziwą twarz moję!

Gwałt straszliwy zrobił się w sali, wszyscy chcieli oglądać cudowne oblicze dziedziczki. Pan młody niepo siadał się z radości, a stary szlachcic w roztargnieniu chustkę od nosa wyrzucał zamiast wylotu, a wylotem łzy obcierał, mrucząc do siebie:

— Chwała Bogu! chwała Bogu! przecież ich dzieci będą do ludzi podobne!

Przygoda pana Narcyza.

Ramotka — Nieramotka.

(Ciąg dalszy).

Po niejakich przygotowaniach do wyprawy, która jak na mieszczańską rodzinę była bardzo sutą, oznaczono dzień wesela na świętego Jakóba, patrona ojca panny młodej. Tak państwo Ziębowie jak i pan Narcyz z swej strony sprosili mnóstwo bliżej i dalej znajomych- a wszyscy, znając zamożny dom państwa Ziębów, i spodziewając się dobrego ugoszczenia, chętnie zaprosiny przyjmowali.

Goście nazjeżdżało się co niemiara. A najprzód był burmistrz miejscowy niedawno na tę godność przez współobywateli wybrany i przez rząd zatwierdzony, z profesyi mąjster garbarski, pan Kopalski. Średniego wzrostu, z ogromną głową i stósowną do niej korpulencyą. Śmiano się z niego, że chyba dla tego został obrany burmistrzem, że miał największe z całego miasta wąsy.

Był także i sekretarz a zarazem i kasyer magistratualny: figurka mała, wyschła, dziubata, wiecznie swemi ślipkami w ziemię patrząca i główkę trochę na bok nakrzywioną nosząca. Był także i pan dyrektor miejscowej szkoły normalnej, wyglądający więcej na wysłużonego strażnika od akcyzy, i zdaje się do podobnego zawodu stworzony, gdyż nadzwyczajnie pobożnie wypróżniał wieczorem lampeczki u miejscowego Mośka, w czem mu wielce sekundowali przybyli wraz z nim na wesele dwaj profesorowie tej szkoły. Oprócz tych panów był także chirurg miejscowy, zwany konsyliarzem, opowiadający każdemu dziwne rzeczy o swoich sławnych kuracyach, o których, nawiasem mówiąc, niejeden nieboszczyk bardzo niekorzystne mógłby dać świadectwo. Wreszcie było kilku urzędników nowo-kreowanego bezyrku, panowie Pęcherzyński i Pajączkiewicz, jeden adjunkt, a drugi aktuaryusz powiatowy, którzy wraz z panem kancelistą Ździerskim, tworzyli trójkę wzajemnie adorujących się eksmandataryuszów.

(C. d. n.)

ALBUM PISARZY I ARTYSTÓW POLSKICH.

Pod tym napisem w Nrze 31. naszego pisma z b. r donieśliśmy zacnym naszym Czytelniczkom o przedsięwzięciu redaktora Tygodnika Poznańskiego Kazimierza Dra Szulca: wydania Album na pamiątkę Piasta, czyli wyraźniej na pamiątkę założenia państwa polskiego. Szło, i jeszcze idzie oto, aby pomnik był powszechnym, czyli narodowym. Tak pomyślił go Dr Szulc i pomyślił go dobrze. Więc należy, aby każdy autor i każdy artysta narodowy przyczynił się do rzeczonego pomnika.

Z Nru 45 Tygodnika Poznańskiego (7go listopada 1862 roku) dowiadujemy się ze smutkiem, że rzecz dość leniwo postępuje. Oprócz innych artykułów dosłanych przedtem, wpłynęły przecież do Redakcyi Albumu następujące:

1) Słowo pierwotnych dziejów Polski, które w tysiąc-letnią rocznicę ucywilizowania się jej za powodem religii katolickiej, tudzież ustalenia władzy monarchicznej przez powołanie na tron rodziny Piasta, wyrzekł *Wacław Aleksander Maciejowski* z Warszawy.

2) *A. E. Odyniec* z Wilna: Melodya Irlandzka z Tomasza Moora.

3) *Floryan Miładowski* z Maciek pod Mińskiem: Kantatę: „Ojcze nasz“ wraz z życiorysem i portretem.

4) *Ks. Tomicki* z Konojadu pod Kościanem: Wniebowzięcie Matki Boskiej, czyli śmierć Boga-Rodzicy.

5) *J. Jeliteńko* z Oleska na Rusi: Kilka słów o zjednoczeniu obrządkowem.

6) *Wiktor* z Baworowa pod Mikulińcami w Galicyi: Psalm 136ty; Oda do Napoleona III na zdobycie Bonarsundu (z łacińskiego Ad. Mickiewicza).

7) *Cypryan Norwid* z Paryża: Ideał i Rzeczywistość, Naturalia, Wyrodek, wraz z własnym życiorysem.

8) *H. Forster* z Berlina: o wolności druku, wraz z życiorysem i portretem.

9) *Hieronim Marcinkiewicz* z Witebska: Rezygnacya; Czyby nie czas; Pokutnik i dwa ustępy z dramatu: Podróżny.

10) *L. S.* Wieczór z Moskwy. Tajemniczy prorok i Egipskie widzenie.

11) *Jan Prusinowski* z Żytomierza: Maronici; Gołąbek syryjski; Pieśń Mohortowa.

12) *Dr Marcinkiewicz* z Moskwy: Tukaj albo próby przyjaźni (zakończenie ballady Ad. Mickiewicza i A. E. Odyńca); część V i VI i Tajemnica.

13) *E. D. Hygens* z Kowieńskiego: Listki (3) jesienne: Dedykacya; Hot, legenda albańska; Piast; Kwiatek leśny; Do J. B.; do E. D.; do J. C.; Dzień A. niołów Stróżów r. 1862; Nagrobek egoisty; Pieśń o dzwonie z Szyllera; tłómaczenie z Heinego, Safira, Anastazego Grüna.

14) *K. Kucz* (redaktor Kuryera Warszawskiego), Skowronek, wraz z króciutkim życiorysem.

Pragniemy gorąco, ażeby projekt szanownego redaktora Tygodnika Poznańskiego został urzeczywistnionym. Wcale nie idzie oto, aby Album pisarzy i artystów polskich wyszło czemprędzej; ale idzie o to, aby wyszło niezawodnie, chociażby po upływie dwóch lub trzech lat, a wyszło w największej dokładności i zupełności. Dokładne i zupełne Album o którem, mówimy, byłoby nietylko świetnym pomnikiem krzepkiej naszej przeszłości, ale byłoby także pomnikiem obecnej chwili, która bardziej od innych domaga się, ażeby umysły i usiłowania nasze w jednem zbiegły się ognisku.

Dołącza się pół arkusz do nru poprzedniego, w którym jest uchybienie prasy.

K. J. Turowski Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca druk. Antoni Rother.